



Wielcy ludzie

Król tułacz

Drogą, wiodącą wśród lasu, posuwał się niewielki, zbrojny orszak. Kilku konnych jechało przodem, za nimi posuwała się zaprzężona w cztery konie wielka karetta i znów kilku jezdnych zamykało pochód.

Noc była ciemna. Z obu stron drogi drzewa tworzyły dwie ponure ściany, których głębi przeniknąć nie mógł wzrok ludzki.

W cieniu nocy posuwał się orszak powoli i w milczeniu. Czasem tylko brzęknął jakiś łańcuch przy karecie, albo szabla uderzyła o strzemie.

— Dalibóg, panie starosto, — odezwał się szeptem jeden z jadących za kolasą. — Nie nazwałbym przyjemnością takiej jazdy po omacku. Wlecemy się jak zółwie, a gdyby ktoś dał mi teraz policzek, nie wiedziałbym od kogo mi się oberwało.

— Cóż robić, panie stolniku. Pochodnie zapalać niebezpiecznie... Światło ściągnęłoby łatwo wrogów. Lepiej jechać powoli, a ostrożnie.

Nagle jadący przodem rycerz wstrzymał orszak. Przed nimi w ciemności błysnęło jakieś światło. Dwu jeźdźców ruszyło kłusem naprzód zbadać, skąd światło pochodzi. Reszta czekała wyniku tych zwiadów. Wódz orszaku, ten który jechał na przodzie, zbliżył się do karety i pochylił do jej okienka.

— Jak tam dzieci? — zapytał.

— Usnęły obie dzieci, — odpowiedział z głębi kobiecy głos. — A czemu sta-
nęliśmy?

— Światło jakieś przed nami. Może to

karczma jaka, może będzie można odpocząć tu i zanocować.

Wkrótce wrócił jeden z gościów zawiadamiając, że naprawdę, w pobliżu jest niewielka karczma przydrożna i że karczmarz szykuje już izbę dla gości.

Izba to była niewielka, toteż umieściły się w niej tylko kobiety z dziećmi: żona rycerza dowodzącego orszakiem, dwie jej córeczki: pięcio i dwuletnia, oraz ich piastunka. Zestawiono ławy, przykryto je dywanami, by służyć mogły za posłanie. Starsza dziewczynka przytuliła się do matki i wkrótce zasnęła. Młodszej ustała piastunka miękkie posłanie w skrzyni, którą ustawiła obok swojej ławy. Spoczywała w niej dziecina, jak w kolebce.

Mężczyźni rozlokowali się w stodole na sianie.

— Nie trzeba zapominać o wystawieniu warty — mówił wódz do jednego z rycerzy.

— Dwóch ludzi czuwa na drodze. Możemy spokojnie odpocząć, — odpowiedział. — Ale ty, Najjaśniejszy Panie, mógłbyś przespąć się w izbie. Ciepłej tam i wygodniej.

— Tsss! — ostrzegł wódz. — Strzeż się mnie tak nazywać. Nie chcę, by tutejsi gospodarze wiedzieli, że goszczą króla. Tytuł to w dzisiejszych czasach bardzo niebezpieczny. Prześpię się z wami, byle noc przeszła spokojnie.

Niestety! Niedługo zażywali spoczynku. Ledwie zdążyli zasnąć zbudzili ich wartownicy.

— Sasi! uciekajmy! Oddział Sasów się zbliża!

Mężczyźni za chwilę siedzieli na koniach. Kobiety przerażone, że snu nie przytomnie, sadyły szybko do kolasy. Mimo strasznych ciemności pędzili, gnani obawą zetknięcia się z silniejszym oddziałem Sasów.

Zwolnili dopiero, gdy karczma była już daleko.

— Jakże się czujecie? — zapytał kobiet ten, którego nazywano królem i Najjaśniejszym Panem. — Całe jesteście i zdrowe?

— Przeraziłyśmy się okropnie! — odpowiedziała mu żona.

— Boże! — wykrzyknęła nagle — a gdzie jest Marysia?

Zatrzymano orszak. Okazało się że piastunka w przerażeniu, zapomniała zabrać ze skrzyni młodszą dziewczynkę.

— Wróć po Maryskę! rzekł król.

I nie zwracając uwagi na prośby rycerzy, którzy ostrzegali, że dostać się mo-

że w ręce wrogów, zawrócił konia i powracał z powrotem.

A dziecko tymczasem spało w swej skrzyni spokojnie. Dopiero, gdy ojciec ominąwszy szczęśliwie nieprzyjacielskie oddziały, dotarł do karczmy, i przytulił córkę do piersi, Marysia obudziła się i rozplakała.

Królem, który tułał się po swym kraju, nigdzie nie znajdując przytulku, był Stanisław Leszczyński. Rywal do tronu polskiego elektor saski zgniebić chciał go i prześladował nieustannie, póki nie zmusił do zrzeczenia się korony.

Wyjechał król Stanisław z kraju i osiedlił się w prowincji francuskiej, Lotaryngii. Do dziś jeszcze wspominają lotaryngii „dobrego króla Stanisława”. A córka jego, owa „zagubiona” Marysia, została królową Francji, żoną króla Ludwika XV. Dla jej dobroci Francuzi nazywali Marię Leszczyńską — „świętą królową”.

W. T.

Dziwna choroba Lili

Lili mieszkała w słonecznej willi za miastem. Z okien pokoju miała piękny, obszerny widok, ale Lili nie lubiła wyglądać oknem. Tam na dworze było radośnie i wesoło, park raił się od dzieci, bawiących się całymi dniami, a okna nie mogła być razem z nimi.

Od dłuższego czasu była chora i nie opuszczała swego pokoju. Lekarze nie mogli rozpoznać tej dziwnej choroby. Żadne lekarstwa, żadne środki nie mogły dodać Lili ani sił, ani ochoty do życia. Wyraz smutku i zniechęcenia nie schodził nigdy z jej bladej, zmęczonej twarzy. Napróżno rodzice, kochający nad wszystko i rozpieszczający swą jedynaczkę, pragnęli ją rozerwać i rozweselić. Nie bawiły jej ani cudne lalki, ani książki, ani śliczne sukienki. Długie dni spędzała leżąc, a jej wykrzywiona bolesnym grymasem twarzyczka z każdym dniem była bledsza.

— Skąd się wzięła ta okropna choroba? — pytali ze zdziwieniem znajomi.

A choroba zaczęła się od drobnego i niezrozumiałego wydarzenia.

Lili była wesołym, zdrowym dzieckiem. Ponieważ każda jej zachcianka, każde skinienie zawsze spełniano, była bardzo

rozpieszczona. Pewnego razu zdarzyło się, że do ogródka, gdzie Lili bawiła się pod opieką niani, weszła niepostrzeżenie mała, nędźnie odziana dziewczynka. Zbliżyła się i jak urzeczona wpatrywała się w wielką śliczną lalkę, która leżała na trawie, rzucona niedbale. Nagle nachyliła się i podniosła lalkę.

— Taka cudna, a poniewiera się na ziemi — pomyślała.

W tym momencie Lili spostrzegła, że jakaś obca dziewczyną trzyma w ręku jej zabawkę.

— Połóż to zaraz — zawołała.

Ale dziewczynka, jakby nie nie słyszała, stała bez ruchu wpatrzona w lalkę.

— Daj mi w tej chwili lalkę, ty przybłądo, przecież, ją zabrudzisz! — krzyknęła nie przyzwyczajona do sprzeciwu Lili. I zanim nieznajoma zdołała wyszeptać, że nie chciała przecież tej lalki zabrać — szarpnęła całą siłą zabawkę i pchnęła dziewczynkę tak gwałtownie, że ta upadła na ziemię. Rozdarł powietrze przeraźliwy podwójny krzyk — upadającej dziewczynki i Lili, która nagle chwyciła się na serce.

Odtąd zaczęła się choroba Lili. Narzekła na ucisk koła serca, mówiła, że czuje stale jakiś chłód i zimno, chociaż w pokoju

było zawsze ciepło i zażywała bezskutecznie różne lekarstwa przeciw febrze.

Była już zima. W parku dzieci ślizgały się po całych dniach. Lili ciągle jeszcze nie opuszczała pokoju.

W pewien mroźny, styczniowy wieczór rozpięta się na dworze śnieżna zawiechuca.

W pokoju Lili było już ciemno, ale dziewczynka nie mogła usnąć. Słyszała, jak wiatr wyl za oknami, targał bezlistne gałęzie drzew w parku i rzucał o szyby zmarznięte grudy śniegu. Nagle zdawało się jej, że w przeraźliwy, ponury świst wichru zmieszał się jakiś inny obcy głos. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Zapaliła lampkę. Tak, teraz wyraźnie już słyszała, jak tam za ścianą ktoś skarżył się i płakał ciekim, dzieciennym głosikiem.

— Zawołam nianię — pomyślała, ale przypominała sobie, że niania nie pozwala wpuszczać do domu obcych. Zresztą wszyscy już spali. Położyła się znów i próbowała usnąć napróżno. Nicustannie słyszała ten cichy, żalony głos.

— Cóż mię to może obchodzić — myślała — rzeszta jestem chora. W tej samej chwili wzrok jej padł na obraz, wiszący na przeciwległej ścianie.

— Co to? Białe o śnieżnych skrzydłach Anioł Stróż jakby wychylił się ku niej z ram obrazu. Wyraźnie usłyszała szept.

— Wstań, otwórz drzwi temu dziecku.

— Ależ ja jestem chora, nie mogę się swobodnie ruszać — pomyślała

— To nic. Ja ci pomogę.

— Przecież ja nie wiem kto tam stoi za drzwiami, ja się boję.

— To dziecko tam zmarznięte — zabrzmiało w uszach Lili.

Podniosła się, włożyła gruby szlafrok i miękkie pantofle. Szła ku drzwiom, jakby nie o własnej sile. Czuli, że ją jakieś mocne ramię podpięra. Otworzyła drzwi wejściowe z zatrasku. Tuż obok drzwi stała w świetle latarni mała, skulona postać. Drgnęła i podniosła głowę. Lili zobaczyła twarz dziecka zmarzniętą i zaczerwienioną.

— Ma chyba tyle lat co ja — przemknęło przez myśl Lili — u mnie ciepło, a ona... — i zdecydowała się od razu: — Muszę jej pomóc.

W tej samej chwili stało się coś dziwnego. Lili uczuła nagle, że ustąpił gdzieś bez śladu ucisk wewnętrzny i chłód, a jej chore serce, jakby zamienione w kawałek lodu — ożyło.

Chwyciła za rękę ową dziewczynkę i wprowadziła ją do mieszkania. W swoim pokoju usadziła gościa przy piecu. Okryła ją i rozcierała jej skostniałe z zimna palce. W domu zrobił się ruch. Światło i odgłos kroków obudziły śpiących. Do pokoju Lili wbiegła mamusia i stanęła zdumiona w progu, widząc, jak Lili krząta się i biega zarumieniona po pokoju, jak gdyby nigdy nie była chora.

— Lili, na Boga, ty jesteś przecież zdrowa! — wykrzyknęła wreszcie.

A Lili podeszła do matki szepnęła: — Tak mamusiu, ale o mnie pomówimy później. Teraz trzeba się zająć naszym biednym małym gościem. H.

Sen zimowy

Pusto i glucho, wiatr północny wieje

Zimowe, długie opowiada dzieje,

A za oknami śnieg prószy cichutko

Rośliny i drzewa otula mięciutko

Śpi już spokojnie natura cała

Świat cały tuli szata śnieżno-biała

Umilkło strumyków cichutkie

szemranie

śpiewanie

Ucichło w świetle już ptaszak

W chatkach tylko brzęczą kołowrotków

kola

Przy kominku zebrana już dziatwa

wesola

Tysiące bajek słucha aż do zmroku

O „Śpiącej królownie” i Żelaznym

smoku

I lecą, lecą z nieba śnieżne płatki

Bielutkie, ciche jak liliowe kwiatki

Śpi więc natura, śpi sobie bez troski
Gdyż czuwa nad nią Opiekun Boski.

WYŚCIGI

Stach to zuch — prawdziwa fryga,
Wiatr go w locie nie prześciga,
Michaś zaś i Janek druchy,
Także chłopcy nie okruchy!
Staszek wiezie jedne sanie,
Dwóch kolegów siadło na nie,
Jaś i Michaś wiozą swoje,
Siadło na nich dzieci dwoje.
Stach na przodzie mknie w kopyta,
Jaś i Michaś mocniej chwytają,
To wstyd, aby był na przedzie
No, i pierwszy... na obiedzie. —
Sparli się, ramiona pręją,
Zaczną biec, no i... zwyciężą.
„Choć koń jeden dobrze goni,
Lecz dwóch koni nie przegoni!”

Jak Pyza



Kiedy się do syta Pyza naślizgała,
nóżki wyciągnęła, łyżwy odpasała.
A że mróz ją w liczko szczypał, że aż strach,
poszła na Bielany tupiąc: — Rach — ciach—ciach!



— Na Kurpie? — Na dobrze! — Gdy Pyza
pozwoli
to ją wszyscy razem odwieziem na kolej...
Toż ci się zadziwił dzielny maszynista,
gdy na dworzec Pyza z setką chłopców
przysła!



... a na tych Bielanach pośród starych murów,
śpiewają chłopcy głośno gwarem dzielnych chórów.
Szkolni dzielni chłopcy Pyzę zobaczyli
wraz ją ciasnym kręgiem w koło otoczyli.

Ryby latające

Czy wiecie, dzieci kochane, że nietyl-
ko ptaki i owady są obdarzone zdolnością
latania, że istnieją pewne gatunki zwie-
rzząt, które także potrafią jak ptaki wzbici
się w powietrze. Znanym wszystkim zwie-
rzątkiem latającym jest nietoperz. Każdy
człowiek, każde dziecko widziało już nie-
toperza latającego w powietrze, a przecież
nietoperz nie jest ptakiem, a zwierzętkiem
ssaącym.

I między rybami, które po wyjęciu z
wody są strasznie niedołążne, jest kilka
gatunków, należących do rzędu „ciemno-
płetwych“, które za pomocą płetw, bardzo
obszernych, mogą nietylko wyskakiwać
z wody, ale jakiś czas utrzymywać się w
powietrzu i przebywać dość znaczne prze-
szerzenie. Ryby te są znane pod nazwą
„ryb latających“, z których wyróżniają
się „kurek“ i „wachlotka“.

Wachlotkę nazywają także przepiórką
morską, gdyż potrafi się ona, wyskoczyw-
szy z wody, wzniesić 5 do 7 metrów, a prze-
latuje około 50 metrów nim się znowu do
morza skryje. Ryby latające nie są wiel-
kie, rzadko kiedy mają 30 cm długości.
Co chwilę wyskakują one z wody, przela-
tują niewielką przestrzeń i znowu w wo-



— Patrzcie, chłopcy! Pyza! Pyza wędrująca,
po całuchnej Polsce! Od końca — do końca!
Dokąd — że iść dalej Pyza by życzyła? —
— Tom jeszcze na Kurpiach ni razu nie była! —

wędrowała



— Do widzenia, Pyzo! — Chłopcy, do
widzenia!
Żegna się Pyzula i chrząka z wzruszenia.
Wśród wielu wiwatów i gromkich
okrzyków
pojechała Pyza do dzielnych Kurpików.

dzie się zanurzają. Wynurzają się z wody
dłatego, aby uchronić się od ryb żarłocz-
nych — rabsiów, które czyhają na ich
zycie.

Właściwości torfu

Uczeni zbadali, że w torfowiskach zna-
komicie można przechowywać różne
przedmioty, które nieraz mogą w ten spo-
sób przetrwać kilka wieków, nie ulegając
rozkładowi. Przed rokiem znaleziono w
Szkocji pod torfowiskami baryłkę, wydra-
żoną z pniaka drzewnego i zawierającą
masło. Wyrób baryłki świadczy, iż pocho-
dzi ona sprzed kilkuset lat, masło w ciągu
stuleci zamieniło się w twardą tłustą masę
o zjeźdzałym zapachu.

Przy wydobywaniu torfu w Niemczech,
Norwegii i Szwecji niejednokrotnie znaj-
dowano ukryte głęboko rozmaite przed-
mioty z drzewa, skóry, a nawet i wełny.
pochodzące, jak np. sandały skórzane żoł-
nierzy legionów rzymskich, sprzed wielu
wielu wieków.

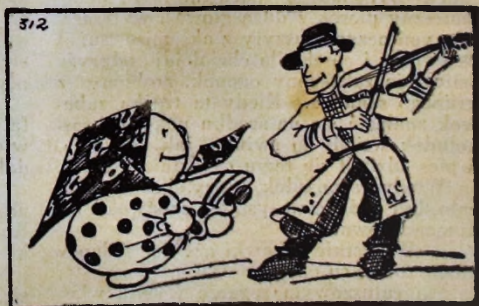
Żeglarze w dawnych czasach podczas
swych wypraw woleli zaopatrywać się w
wodę z torfowisk, która, choć brunatna i
o niemiłej woni i smaku, mniej była zdra-
dliwa od pozornie czystej wody rzek i
jezior.



... Piękna leśna droga, piękna leśna stećka,
piękna szumna, dumna puszcza myszyńska:
Wędrowała Pyza poprzez bór wspaniały,
aż zima minęła i śniegi stopniały.



Zaszumiły sosny od wichrów wiosennych
zaburezały pszczoły w wielkich dziuplach
ciemnych,
i zabrzmiały leśne, kurpiowskie piosenki
od Łomży, Myszyńca i od Ostrołęki.



— Graj grajczyku, aby mógł!
Nie żałujże moich nóg!
Moje nogi cisowe,
do taneczka gotowe!"

SKLEP z ZABAWKAMI

Pewnego razu Konradek nie zdążył przed dziesiątą godziną wieczorem odrobić lekcji do szkoły. Siedział więc nad nauką późno w nocy. Na drugi dzień był taki śpiący, że robiąc porządki w sklepie po siódmej godzinie, zdrzemał się w kąciu. Panna Zuzia, sklepowa, która zawsze ostatnia wychodziła i zamykała sklep, myślała, że Konradek już poszedł do domu. Nie spostrzegła go, bo w tym kącie sklepu było ciemno i zamknęła go w sklepie na całą noc.

W sklepie było ciepło, ciemno, więc Konradek wcale się nie obudził, kiedy panna Zuzia wychodziła. Spał, spał, spał, zupełnie jakby był w łóżeczku, u swojej mamy. Latarnia z podwórka przez zakratowane okno rzucała dziwny, tajemniczy blask do ciemnego sklepu z zabawkami.

Niewiadomo, czy tak było naprawdę, czy się tylko tak Konradkowi zdawało, ale otworzył w pewnej chwili jedno oko, potem drugie, gdy usłyszał jakieś podejrzane szmery. Z początku nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Ale mnóstwo zabawek dookoła kazało mu się domyślić, że jest nie w domu u matusi, a w sklepie z zabawkami. Przypuszczał, że ten szmer, jaki słyszy, robią muszy, lecz nie te zabawki w kształcie myszek, ale żywe myszy, które w nocy wylazą z nor.

Jakżeż się zdziwił, kiedy ujrzał tuż przed sobą na podłodze, jak krasnoludek — jedna z większych lalek, prowadził za ucho inną zabawkę, tłustą, różową świnkę. Świnka chrząkała, kwiczała, kiedy krasnoludek zbyt mocno pociągał ją za ucho. Śmieszny piesek z dużą głową i wytrzeszczonymi oczami, uszyty z aksamitu, sunął za świnką i co chwila chciał jej odgryźć śmiesznie zakrepony ogonek, zrobiony z grubego sznurka. Kiedy ta trójka zabawek znalazła się na środku pokoju, krasnoludek wsiadł na świnkę, jak na konia, a pies zdziwił się temu ogromnie.

Wtedy rasnoludek, który, jak się okazało, był królem wszystkich zabawek, zakomenderował:

— Wszystkie zabawki aż do północy mogą robić, co chcą!!

Na ratuszowym zegarze wybiła właśnie dziesiąta godzina.

Wtedy się zrobił w sklepie z zabawkami taki ruch, jakby to było przed samymi świętami Bożego Narodzenia, chociaż nie było tu ani sprzedających, ani kupujących.

Naprzód zagwizdała lokomotywka, za nią ozwały się świstki innych maszyn: i tych drewnianych, i tych blaszanych, i nawet tych papierowych do wycinania i sklejania, namalowanych na arkuszach.

Tu blaszany tragarz pchał przed sobą blaszany wózek. Przejeżdżały samochody z głośnym trąbieniem. Tramwaje posuwały się ze zgrzytem, a policjant regulował ruch swoją białą pałeczką.

Gra, która się nazywa „Konne Wyścigi”, rozłożyła się koło proga, a różne lalki, większe i mniejsze, tłoczyły się na to widowisko. Dżokierze, to jest jeźdźcy wyścigowi, pedzili w koło po tablicy do celownika od mety. Kostki do gry przy tym same się wyrzucały. Otworzył się mały hangar, to jest budynek, gdzie mieszkają samoloty, balony i sterowce. Wyjechały z niego: dwa acroplaniki i jeden dosyć duży, jak na zabawkę — sterowiec. Laleczki, przedstawiające lotników, zajęły swoje miejsca. Laleczki — policjanci regulowali wszędzie ruch.

Tuż koło lady rozłożyła się inna gra towarzyska, która się nazywa „Morska Podróż”. Zaraz stateczki postawiały się przy brzegu na tablicy, przedstawiającej lady i morza. Jeden statek, ten który dziś w dzień ci dwaj chłopcy, co to im ich mama kolejką kupiła — nazwali „Gdynia”, zaczął głośno trąbić. Prawie zupełnie tak, jak prawdziwa syrena okrętowa.

— Acha, „Gdynia” odjeżdża — pomyślał sobie Konradek, gdy zauważył, że holenderska para laleczek, które on ponazywał Margeritką i Rudolfkiem, zaczęła się śpieszyć.

Zeszły z półki i biegly po podłodze w stronę „Gdyni”, która miała właśnie odplynąć do Holandii.

Morze na tablicy tekturowej zaczęło falować i brzeg po drugiej stronie morza w oczach Konradka zaczął się oddalać, oddalać, aż znikł mu całkiem z oczu.

I już, już Margerita i Rudolf wsiedliby na odjeżdżający za chwilę okręt, gdyby Konradek nie wyskoczył ze swej kryjówki w kącie pokoju i nie złapał obojga, aby ich schować do kieszeni. Bo przeląkł się, żeby te laleczki nie odjechały do Holandii. Wtedy już nicy nie było z prezentu dla rodzeństwa... Wtem usłyszał jakiegoś kołatanie przy drzwiach... Okręt w jednej chwili wrócił na swoje miejsce. Tak samo lalki, tramwaje, kolejki i inne zabawki, które dotychczas były w ruchu.

Krasnoludek na śwince zawołał swoim płszczęcym, ale rozkazującym głosikiem:

— Prędzej, prędzej! Wszystko na miejscu, żeby nas kto nie zobaczył!!! I sam pogalopował na swoim gruboskokóym wierzchowcu tam, gdzie zawsze stał. Piesek pośpieszył w cwał za nim i napróżno po raz ostatni starał się obgryźć śwince smakowity ogonek ze sznurka, tylko że na różowo pomalowany.

I w jednej chwili wszystko ucichło...

Wtedy ktoś zapalił elektryczne światło w sklepie. Konradek obudził się zupełnie, kiedy go panna Zuzia pociągnęła za rękaw. Oprócz starszej panny sklepowej, stała przed nim i jego mama, zapłakana i bardzo smutna. Ale kiedy zobaczyła swego synka zupełnie zdrowego, tylko trochę rozspanego, wnet się rozchmurzyła; śmiała się przez łzy i całowała Konradka, zabierając go zaraz ze sobą do domu.

Konradek po drodze do domu dowiedział się od matki, jak się niepokoiła w domu, kiedy długo nie wracał z roboty. Jak wreszcie pobiegła do mieszkania panny Zuzi i ta także nic nie wiedziała o jej synku. I jak wreszcie wpadły obie na pomysł, aby zajrzeć do zamkniętego już dawno sklepu, czy tam nie znajdzie się jakiś ślad po zaginionym Konradku. No i, jak się okazało, nietylko ślad się po nim tam znalazł, ale nawet sam Konradek.

Kiedy nazajutrz Konradek przyszedł po obiedzie do sklepu, ja właśnie byłem tam także, bo chciałem dla mojego synka, Krzysia, kupić „gospodarstwo“.

Trafiłem na małe zamieszanie w sklepie. Panna Zuzia zwierzała się właścicielowi sklepu z zabawkami, że z półki z lalkami dwie z nich zginęły.

— O, proszę pana — mówiła panna sklepowa, — stały tutaj na samym proździe dwie śliczne, holenderskie laleczki i zginęły przez noc, jak kamień w wodzie. Już od rana zauważyłam ich brak.

Wtedy Konradek chwilę się jakby zastanawiał, jakby coś sobie przypomniał, jakby się wahał, a potem prędko sięgnął do kieszeni i wyjął z niej... Margeritę i Rudolfa. Jego chlebobdawca zmarszczył brwi, odbierając od niego laleczki i zapytał:

— A to co znown? Co te lalki robią w twój kieszeni?

Wtedy to Konradek, trochę się jākając, opowiedział całą swoją nocną przygodę.

Ten pan narazie nie chciał temu wierzyć, co Konradek opowiadał, ale ja się znam dobrze na dzieciach i na zabawkach,

a zresztą wyczułem z mowy biednego chłopczyka, że szczerze spowiada się z tego wszystkiego, co mu się przytrafiło w nocy. I ja dopiero uprosiłem właściciela sklepu z zabawkami, żeby nie oddał Konradka. Bo już, już chciał go pozbawić posady.

No i ten pan jeszcze zapowiedział Konradkowi, żeby nigdy nie zasnął w sklepie, bo będzie źle, a Konradek płakał markotny, patrząc z żalem i wyrzutem na Margeritę i Rudolfa, które teraz obojętnie stały sobie na półce, nie dbając wcale o to, że go nabawiły tylu przykrości.

Kiedy pana Zuzia zapakowała mi „gospodarstwo“ dla mojego Krzysia, już miałem wyjść, lecz wróciłem się od progu i poleciłem jeszcze zawinąć w papier Rudolfa i Margerite.

Widziałem, jak przykro było patrzeć Konradkowi, że jego ulubione laleczki, które w myśli był przeznaczył na podarunek dla swego rodzeństwa, Jasia i Alisi — panna Zuzanna mnie oddaje, gdy za nie w kasie już zapłaciłem.

Ale dopieroż to była radość tego dobrego, pracowitego chłopca, kiedy mu wręczyłem zawiniątko z holenderskimi laleczkami ze słowami:

— Masz, chłopczyku, to dla ciebie kupiłem Rudolfa i Margeritkę, żebyś je mógł już dzisiaj zanieść w prezencie twojej siostrzyczce i bratczkowi!...

K O N I E C

O czarnym diamencie

Zima. Białe płatki śniegu wiają się w powietrzu i zaścietają ziemię puchową powłoką. Białe płatki śniegu są dziś nielitościwie! Zakrzepły, zamarzyły! Są obojętne i głuche! Gdy padają na ziemię, zbijają się w lodowatą masę.

— A to zima! — woła mały roznosiciel gazet, zacierając ręce czerwone i zbolące.

Janek siedzi w domu, bo nie ma pałta. Mróz wieciem pokrył szyby okien, zewsząd zimno wieje. Piec biela świeci, lecz i w nim ogień zamarł. Jagusia wróciła koło południa i powiedziała, że węgla nigdzie nie ma.

W składach węgla, gdzie zawsze piętrzyły się góry czarnego kamienia, dziś

pusło. Tylko przed składami stoją zwarłe sznury ludzi z koszyczkami, z workami, z kubelkami. Czekają już dawno, pomimo dokuczliwego mrozu, który ból sprawia i lży z oczu wysyka. Bo jakże wrócić do domu, kiedy tam drobne dzieci dygocą z zimna, a matka nie może ich ogrzać, ani gorącą strawą nakarmić!

Janek ukrył się pod miękką puchową pierzynką i wyczekuje powrotu Jagusi — a nuż węgiel zdołędzie i w piecu napali?

Skromny, cichy, czarny węgiel! Janek nigdy nie przypuszczał, że taka wielka siła w nim drzemie, że jego brak tak boleśnie się odczuwa. I oto teraz, leżąc w łóżeczku, ze skupioną uwagą słucha opowieści matki o tych dawnych czasach, kiedy węgiel powstawał.

Ziemia obfitowała wówczas w bujną roślinność, bogatą w skrzypy, paprocie, rośliny pokrewne widlakom i drzewom iglastym. Wody znosiły szczytki roślin wraz z żwirzem, piaskiem i mułem do rozległych nizin i lasów bagnistych. A z biegiem czasu rośliny te wraz z drzew gromadą, zagarniętą przez wodę, przeobraziły się w węgiel.

Węgiel już był, a człowiek o nim nie jeszcze nie wiedział. Niejednokrotnie natknął się na zbitą kamienną masę, lecz miał ją obojętnie, a często z niechęcią, uważając za bezużyteczną.

Nie wiedział, że z węgla wykwitnie ogień, który w przyszości ogrzeje i oświetli pałac bogacza i piwniczną izbę nędzarza, nie wiedział, że przez węgiel dojrzeje przemysł, że rozrośnie się życie. Nie przypuszczał, że węgiel wciśnie się we wszystkie czynności życia ludzkiego, że będzie dostarczał światła, ciepła i ruchu — ruchu lokomotyw, maszyn fabrycznych...

Wśród narodu belgijskiego snuje się legenda, że w wielku XII, w wiosce Plénevaux pod Leodium żył kowal, nazwiskiem Honillos. Był on tak biedny, że często nie mógł dostarczyć pożywienia żonie i dzieciom. Pewnego dnia, kiedy nieszczęśliwy kowal z rozpaczą myślał o ciężkim swym losie, zjawił się przed nim starzec z siwą brodą.

Strapiony kowal zwierzył się ze wszystkich swych trosk i utrapień, skarżył się, że drzewo drogie, że kupić go nie może, a jakże kuć żelazo bez ognia?

Rodzina głodna, źle odziana, bo jakkolwiek ciężka jego praca, kowal nie jest w

stanie zaspokoić potrzeb swej rodziny. Skargi te do łez wzruszyły dobrego starca.

— Przyjacielu — zawołał, — idź ku sąsiedniej górze, odgarnij ziemię, a znajdziesz pod nią ciemne, czarne żwiry, które zastąpią ci drzewo.

Honillos uczynił tak, jak kazał mu starzec. I rzeczywiście na wskazanym miejscu znalazł żwir czarny, a gdy wrzucił go do ognia, ogień zajaśniał niezwykłą mocą.

Przepojony szczęściem, podzielił się kowal radosną nowiną z sąsiadami, nie mijając i innych kowali; gdyż chciał, aby w radości jego wzięli udział wszyscy ludzie, aby łaska i na nich spłynęła, a ci w dowód wdzięczności nazwali węgiel imieniem kowala „honille”.

Pamięć o kowalu po dzień dzisiejszy żyje w sercach górników belgijskich, którzy często wspominają starego węglarza — kowala i swego starca, który, jak twierdzą, niewątpliwie był aniołem.

Leodium nie okazało się jednym źródłem węgla. Wkrótce potem odkryto kopalnie w Mons, Charleroy a stosowanie węgla coraz szerzej i dalej się rozpowszechniało, gdyż korzystały już nie tylko kowale,

Lecz nie od razu węgiel spotkał się z uznaniem, nie od razu zrozumiano jego wartość. Przeciwnie, tam, gdzie się ukazywał, zrywał się buragan niechęci. Zarzucano mu, że zatrąwa powietrze, że wywołuje chorobę płuc, że zanieczyszcza mieszkanie. Doktorzy nie zezwalali na rozpowszechnianie węgla, mówiąc, że w czasie spalania wydzielają się gazy szkodliwe dla zdrowia, a właściciele lasów bronili mu wstępu w obawie, że wyprze on drzewo, ze stracą zyski. Wobec tego zabroniono użycia węgla, a nieposłusznych wtrącano do lochów i nakładano na nich kary pieniężne.

I długo musiał wyczekiwać węgiel, nim otwarty się dla niego szerokie wrota świata, nim zrozumiano, że jest on błogosławieństwem ludzkości. A stało się to dopiero w XVIII wieku, lecz odtąd datuje się zwycięski pochód węgla na drodze wielkich wynalazków. Węgiel jest skarbem nieocenionym w domu, w szkole, w fabryce, na okręcie, na kolei — wszędzie!

Skromne, czarne kamienie szły z dalekiej przeszłości. Ciężki był ich pochód, ciężkie toczyły walki, lecz zwyciężyły, bo była w nich wielka, niepokonana dobroć i ciepło, bo siały szczęście i radość.

P. Feinsztein